

Klasy rządzące, kryzys i makaron

24 września 2008

Etnolog Marcel Mauss, gdy zastanawiał się kiedyś, w jaki sposób można przedstawić sobie, czym jest kryzys, zawołał: „Gdy zobaczyłem, jak sprzedawczyni w sklepie mięsnym podaje komuś galaretkę mięsną, zrozumiałem wszystko”. Społeczeństwo – twierdzi Mauss – to „coś, co się trzyma (...) To żel, jak galaretka mięsna. Kryzys to moment, w którym przestaje się trzymać. (...) To odwilż, to rozchodzenie się cząsteczek mięsnej galaretki po ciepłym makaronie”. Ale również „stan, w którym nieprawidłowość staje się prawidłem, a prawidłowość okazuje się niemożliwa” [1].

Jest to stan, w którym chwiejne finanse, rosnące ceny energii i powszechne poczucie niepewności podważają podstawy dotychczasowego porządku – na Wall Street Rezerwa Federalna (Fed) przejęła kontrolę nad bankami, w Holandii oficjalnie wyznaczono wysokość pensji prezesów przedsiębiorstw, w Wellington nowozelandzki rząd upaństwowił na powrót koleje. A w Londynie z łamów prasy ekonomicznej wygląda coraz większa niepewność.

„Lęki”, „recesja”, „oszczędzanie”, „protekcjonizm”... te alarmujące słowa pojawiają się z coraz większą częstotliwością na pierwszej stronie Financial Times, najważniejszego organu europejskiego wolnego rynku [2]. „Zapamiętajcie sobie piątek 14 marca 2008 r. – pisze Martin Wolf, wielka gwiazda tego dziennika – tego właśnie dnia runęło wielkie kapitalistyczne marzenie o globalnym rynku”. W ten czarny piątek Fed podjął decyzję o ratowaniu banku Bear Stearns, przytłoczonego gigantycznymi kredytami mieszkaniowymi. „Destabilizacja sięgnęła szczytu” – pisze dalej Wolf (26 marca 2008). Nie ma potrzeby wymieniać przywoływanych nieustannie oznak tego załamania – niewydolne państwa, drobiazgowa biurokracja,

archaiczni pracownicy. A jednak John Thornhill, odpowiedzialny za europejskie wydanie Financial Times, całkiem trafnie wskazuje winnych: „Wiele banków dało dowód potwornej, można wręcz powiedzieć: kryminalnej, nieodpowiedzialności” (17-18 maja).

W miarę jak nasila się ten potrójny kataklizm: finansowy, energetyczny i monetarny, rujnujący światową gospodarkę, elity ogarnia panika. Jak galaretka mięsna na makaronie Maussa ich mocno trzymające dotąd podstawy wiary zaczynają puszczać. „Rynek nie jest już odpowiedzią na wszystko” – ośmiela się zauważyć Michaels Skapinker, inny redaktor z Financial Times (25 marca). I kolejny symptom poważnego rozprzężenia – Handelsblatt, pismo bliskie środowisk finansowych, poparło interwencjonizm władz publicznych, „choćbyśmy mieli sprzeniewierzyć się wszystkim naszym zasadom” [3]. Jednak The Economist, podobnie jak Wall Street Journal, będą się wciąż trzymać swoich zasad: „by system funkcjonował” – przypomina liberalny tygodnik – „czasem bankier musi stracić stanowisko, a inwestor ostatnią koszulę” (19 lipca).

Prominentni politycy i znani ekonomiści również bezczeszczą swoich bogów. Europejski Bank Centralny wczoraj jeszcze wychwalany był za swój surowy rygor, a dziś – dla tych samych powodów – krytykuje go hiszpański premier José Luis Zapatero oraz niemiecki minister finansów Peter Steinbrück. Zresztą, szlaki przetarli im już premierzy Francji i Włoch.

Jest jeszcze gorzej. W swoją wiarę zwątpił nawet Josef Ackermann, dyrektor generalny Deutsche Bank, a zarazem emblematyczna postać kapitalizmu europejskiego: „Nie wierzę już w zdolność rynku do samoregulacji” (Bloomberg, 17 marca). Jego kolega po fachu Horst Köhler, były dyrektor generalny Międzynarodowego Funduszu Walutowego i prezydent Republiki Federalnej Niemiec, traci cierpliwość: „Rynki międzynarodowe zmieniły się w potwora, którego trzeba zagnać do jego jaskini” (Stern, 15 maja).

Te narzekania przypominają przestraszone dziecko, któremu wyskoczył przed nos diabełek ukryty w magicznej skrzynce. Za pierwszym razem można się śmiać, ale za dziesiątym? Po krachu z 1987 r. wielu spryciarzy z Wall Street też odczuło nagłą potrzebę „moralnej odnowy w biznesie”, czasem stymulowaną krótszym lub dłuższym pobytem za kratkami. W okresie 1997-1998 azjatycki kryzys finansowy podkopał stabilność międzynarodowych instytucji finansowych i zainspirował spekulanta George’a Sorosa do napisania książki przeciwko „fundamentalizmowi rynkowemu”. Po rozczarowaniu boomem internetowym w latach 2001-2003 i po skandalach Enronu, Vivendi oraz WorldComu mówiło się już tylko o etyce biznesu i o neutralizacji „broni finansowej masowego rażenia”, którą wskazywał oskarżycielskim palcem w marcu 2003 miliarder Warren Buffett. Powstała cała seria dzieł napisanych przez ekonomistów i szefów przedsiębiorstw wykazujących niedociągnięcia kapitalizmu tylko po to, by go ulepszać [4]. Za każdym razem jednak tablica zostanie wytarta. Teraz rośnie nowy wrzód, tym razem w nieruchomościach. Nadmiar gotówki, spekulacje, krach, kajanie się – te cztery etapy powtarzają się regularnie w historii finansów od XVIII wieku!

Zakłócenia w liberalnym dyskursie nie są jedynie skutkiem kryzysu gospodarczego – swoją rolę odegrała tu również seria skandali. Ucieczka grubszych podatników przed fiskusem do Lichtensteinu i afery korupcyjne w Deutsche Telekom, Siemensie, etc. sprzęgły się w Niemczech z publicznym ujawnieniem silnych nierówności. Z jednej strony „Niemcy odkrywają, że mają 22% biedujących robotników”, jak ich nazywa autor artykułu w Les Echos (21 kwietnia); z drugiej berliński korespondent Le Figaro (3 czerwca) zauważa, że „średnie wynagrodzenie prezesów trzydziestu spółek wchodzących w skład Dax wzrosło o 62% w ciągu 5 lat wobec 2,8% wzrostu pensji przeciętnego pracownika”. Prezydent Niemiec skonsternowany przyznaje, że minie sporo czasu, zanim „zaufanie społeczeństwa dla elit ekonomicznych, zrujnowane przez niewłaściwe postępowanie niektórych szefów ważnych niemieckich

przedsiębiorstw, będzie mogło zostać przywrócone" (18 czerwca).

Sekretarz generalny Trades Union Congress w Wielkiej Brytanii Brendan Barber też czuje, że temperatura wzrasta. 21 maja oznajmił: „Robotnicy czują, że nie mają czym grać w kasynie kapitalizmu. Są zagniewani, bo podczas gdy ich przytłaczają problemy z zapłaceniem rachunków, niewielka grupa superbogaczy swobodnie unosi się w stanie społecznej nieważkości”. Trzy tygodnie wcześniej dowiedzieliśmy się, że majątek 1000 najzamożniejszych Brytyjczyków wzrósł czterokrotnie od czasu dojścia do władzy laburzystów w 1997 r.

We Francji również doszło do serii nieprzyjemnych skandali. Plajta banku Société générale, wykorzystywanie na giełdzie tajnych informacji przez zespół kierowniczy EADS, oszustwa odkryte w Union des industries métallurgiques et minières (Związek Przemysłu Metalurgicznego i Wydobywczego). Powtarzalność tych afer dyskredytuje osoby na kierowniczych stanowiskach i kompromituje reguły gry gospodarczej. Eseiście Max Gallo, wypowiadając się na temat kary nałożonej na byłego dyrektora generalnego Vinci, Antoine’a Zachariasza, podsumował: „Nie jestem egalitarystą, jestem za gospodarką rynkową. Ale istnieją pewne granice nierówności, których przekroczenie poważnie kwestionuje podstawy systemu akceptującego takie nierówności”. Philippe Meyer odpowiedział żartobliwie: „Chce pan powiedzieć, że istnieją granice nierówności, których przekroczenie zagraża samej nierówności?” (France Culture, 18 czerwca 2006).

Taki jest mniej więcej sens oskarżeń kierowanych przez zachodnie elity przeciw tym kilku enfants terribles.

W Brukseli Jean-Claude Juncker, przewodniczący Eurogrupy (która łączy ministrów finansów strefy euro) uważa za „absolutnie skandaliczne” „zbyt (sic!) wymknienie się spod kontroli wynagrodzeń dla dyrekcji przedsiębiorstw” (Le Figaro, 14 maja).

Kiedy ośmiu dyrektorów Converteam podzieliło się 700 milionami euro przy sprzedaży przedsiębiorstwa w czerwcu 2008 r., kiedy dyrektor generalny Porche zarobił w 2007 r. 60 milionów euro, a jego kolega w niderlandzkiej firmie spożywczej Numico otrzymał bonus wysokości 66,8 milionów euro – taki brak wyczucia i taka pazerność zawstydzili nawet osoby na kierowniczych stanowiskach. Mouvement des entreprises de France (Ruch Przedsiębiorców Francji) oraz BDI (Niemiecka Federacja Przemysłowców) skrytykowały zbyt wysokie wynagrodzenia. „Jeśli to będzie nadal trwało, opinia publiczna odwróci się od przedsiębiorców [5]” – tłumaczy Wouter Bos, holenderski minister finansów, by uzasadnić uchwalenie prawa wprowadzającego wysokie podatki dla zbyt jedwabistych złotych spadochronów.

Prawdę mówiąc, problem tkwi nie w różnicach między bogatymi i biednymi, ale w różnicach między szefami i akcjonariuszami. Wywindowane wynagrodzenia jednych poważnie uszczuplają zyski drugich. „W zeszłym roku na przykład średnie wynagrodzenie szefa firmy wchodzącej w skład S&P 500 [...] praktycznie się podwoiło, podczas gdy przeciętne zyski z ich przedsiębiorstw wzrosły średnio o 12%” – oburza się autor artykułu w Corporate Finance, dodatku do Financial Times (26 marca). Nell Minow (amerykańska specjalistka od zarządzania korporacjami), gdy została zaproszona w charakterze świadka 7 marca 2008 r. przed komisję Izby Reprezentantów, nie przebierała w słowach: „Nieuzasadnione wynagrodzenia wypłacane dyrektorom generalnym, którzy plajtują, powinny trafić z powrotem do akcjonariuszy [6]”.

Klasa rządząca na Zachodzie, zrujnowana kryzysem finansowym, potępiana za ostentację, obawia się teraz niepokojów społecznych. Wzrost cen surowców, żywności i energii ciąży społeczeństwu. Związkowcy europejscy, którzy 5 kwietnia zorganizowali marsz w Ljubljanie, robotnicy, lekarze i profesorowie, którzy razem uczestniczyli w manifestacji w Egipcie w marcu tego roku, buntownicy, którzy złupili i

spalili siedzibę swojej (amerykańskiej) firmy w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, wszyscy domagali się tego samego: podwyżki płac.

Jednak Michiyo Nakamoto, japoński korespondent Financial Times, widzi głębszy żywioł kontestacyjny w akcji przeprowadzonej przez garstkę japońskich robotników rolnych w czerwcu tego roku, którzy zaatakowali policję kamieniami i koktajlami Mołotowa: „W dość krótkim czasie” – wyjaśnia – „spójne i egalitarne społeczeństwo drugiej potęgi gospodarczej świata zmożyły wszystkie choroby modelu liberalnego – takie jak rosnąca liczebnie klasa pokrzywdzonych, alienacja, wzrastający rozryw między dochodami różnych warstw społecznych i głębokie niezadowolenie” (10 lipca). W latach 2000-2007 gospodarki krajów zwanych „rozwiniętymi” (strefa euro, Japonia, Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Kanada) weszły w ulicę jednokierunkową – pensje, które stanowiły 56% krajowego przychodu, spadły do 53,5%, zaś zyski z przedsiębiorstw skoczyły od 19% do 16% [7]. Lawrence Summers, niegdyś główny ekonomista Banku Światowego, później zaś minister finansów w rządzie Clintona, jasno wyłożył stawki w tej grze: „Sprzeciw wobec umów wolnego handlu i, bardziej ogólnie, wobec globalizacji wynika ze stopniowego uświadamiania sobie przez robotników, że to, co jest dobre dla gospodarki globalnej i dla asów biznesu, niekoniecznie jest dobre dla nich samych” (5 maja).

Kwestionowanie globalizacji przez samych jej budowniczych zapewne w dużej mierze jest skutkiem poczucia, że stery wymykają im się z rąk, a władza gospodarcza przechodzi stopniowo na stronę Azji. Czując, że tracą kontrolę, gotowi są uznać to, czemu do tej pory zaprzeczali – po to, by uciec przed tym, do czego sami doprowadzili. „Wyznaczniki globalizacji zostały ustalone na Zachodzie” – przyznaje Philip Stephens z Financial Times – „Uwolnienie rynku i zalew kapitałów to projekt przede wszystkim amerykański. Nie było to z pewnością przedsięwzięcie imperialistyczne. Ale choć

teoretycznie cały świat miał czerpać korzyści z integracji gospodarczej, zasada zawarta w niej implicite stanowiła, że główne korzyści przypadną najbogatszym". Teraz Zachód „nie może już oczekiwać, że będzie mógł dyktować reguły gry” (30 maja).

Specjaliści od finansów oraz wysoko postawieni politycy czują, że wybiła godzina, by ustąpić w sprawach ubocznych, a wygrać to, co najważniejsze – wolny rynek i zasadę samoregulacji. Na kolumnach Financial Times otwiera się debata na temat zasadności wysokiego opodatkowania bogatych, ograniczenia dumpingu fiskalnego i przyznania amerykańskim pracownikom większych zabezpieczeń ekonomicznych. Lawrence Summers i Martin Wolf widzą w tym środek na zminimalizowanie groźby protekcjonizmu (5, 20 i 21 maja).

Jedna rzecz została, jak się wydaje, osiągnięta – przyjęta linia polityczna pozwoli uniknąć zbyt drastycznych reglamentacji. „Bankowcy muszą zrozumieć, że jeśli sami nie zrobią nic, by ograniczyć swoje ekscesy, powstaną regulacje i silna presja odgórna, która zadziała zamiast nich”, czytamy w artykule wstępnym Financial Times (8 marca). Gospodarcze prognozy przewidują nowe kody postępowania, nowe zasady etyki. I, kto wie, może minimalne obniżenie płac.

Jeśli komuś spodobał się kontrast między surowością diagnozy i łagodnością zaleconego środka, warto, by zajrzał do ostatniej książki Patricka Artusa i Marie-Paul Virard [8]. Jest to „bicie na alarm”, surowa krytyka „nasilających się nierówności, marnowania zasobów, spekulacji finansowych, absurdałnego wyścigu za zyskiem i europejskiej implozji”. Później zaś następuje konkluzja, że trzeba czym prędzej „nadać naszemu wspólnemu życiu nowy bieg” (s. 154). W podobnym tonie utrzymana jest rozmowa między Ségolene Royal i Alainem Tourainem [9]. Z jednej strony przywódczyni socjalistów twierdzi, że „globalizacja się nie powiodła” (s. 98), z drugiej wyznacza swojej partii cel nie inny, niż właśnie „kontrolowanie globalizacji, by skierować ją we właściwym

kierunku" (s. 108). Stąd powstaje nieodparte wrażenie, że socjaldemokracja stawia zagrożonej gospodarce te same pytania co Financial Times – i daje na nie te same odpowiedzi.

Autor: Pierre Rimbert

Tłumaczenie: Magdalena Kowalska

Źródło: [„Le Monde diplomatique” nr 9 \(31\) 2008](#)

PRZYPISY

- [1] Marcel Mauss, *Ecrits politiques*, Paryż 1997, s. 772.
- [2] O ile nie jest zaznaczone inaczej, wszystkie następujące dalej cytaty pochodzą z Financial Times.
- [3] Cytowane przez Le Monde, 20 marca 2008.
- [4] Zob. François Chesnais, „Quand le patronat accuse le capitalisme”, *Le Monde diplomatique*, marzec 2006.
- [5] Cytowane przez The Independent, Londyn, 19 maja 2008.
- [6] Cytowane przez Les Echos, Paryż, 12 marca 2008.
- [7] Za Financial Times, 9 czerwca 2008.
- [8] Patrick Artus, Marie-Paul Virard, *Globalisation, le pire est a venir*, La Découverte, Paryż 2008.
- [9] Ségolène Royal, Alain Touraine, *Si la gauche veut des idées*, Grasset, Paryż 2008.